

Na zielonogórskiej scenie

Abelard i Heloiza, czyli logika i uczucie

Po „Abelardzie i Heloizie” na Scenie Studio Teatru Lubuskiego zamarzyło mi się, żeby młodzi ludzie mogli rozpoczynać poznawanie Średniowiecza od spotkania z bohaterami wielkiej historii miłosnej.

Dzieli nas od nich dziewięć wieków. Mimo tego ogromnego dystansu Abelard i Heloiza przetrwali w żywych postaciach. Przetrwali dzięki kilku listom które zachowały się do dzisiaj z ich korespondencji, stanowiąc trwałe świadectwo wielkiego uczucia. Czytając te listy, kolejne pokolenia odkrywają nie bez naiwnego zdziwienia, że w zmieniającym się pośpiesznie świecie miłość pozostaje uczuciem przeżywanym tak samo jak przed wiekami.

I nieważny staje się habit Abelarda czy zakonny welon Heloizy, nieważne dziewięć stuleci dzielących nas od nich, gdy odkrywamy w bohaterach tej historii ludzi z krwi i kości, niespodziewanie nam bliskich, wzruszających, wywołujących żywe współczucie.

I jakże dalekich od wyobrażeń zaszczyconych nam w szkole! Dalekich nie tylko poprzez wielkie gorące uczucie, skłaniające nawet do buntu przeciw Bogu, dalekich również dlatego, że ich życie odbiega od znanych schematów.

Piotr Abelard był sławnym filozofem i teologiem. Jego wykłady ściągały rzesze uczniów, a księgi — potępienie i podziw.

Poznał Heloizę, będąc trzydziestoletnim mężczyzną, który zdążył osiągnąć wyzyny w uprawianej przez siebie dziedzinie. Heloiza jest wtedy siedemnastoletnią panną, zwracającą uwagę współczesnych niepospolitą inteligencją i zamiłowaniem do nauki. Przygarnięta pod dach przez swego stryja — kanonika Fulberta studiuje filozofię i teologię. Wśród młodych kleryków w szkole Notre-Dame dziewczyna budzi sensację. Trudno, by nie zwrócił na nią uwagi wykładający w tej szkole Abelard. Pochłonięty filozofia nie miał dotąd czasu dla kobiet. Teraz ulega — jak sam pisze — chorobie zmysłowości.

Udaje mu się zamieszkać w domu Fulberta i zdobyć serce Heloizy. Nie udaje się natomiast parze kochanków ukryć płomiennych uczuć. Skonfrontujmy kilka faktów z naszymi wyobrażeniami o Średniowieczu. Heloiza spodziewa się dziecka i rodzi nieslubnego — wedle naszych pojęć — potomka. Ale kiedy Abelard, gwałtownie zadośćuczynienia wyrządzonej krzywdzie, prosi o przebaczenie kanonika, obiecując, iż poślubi swoją ukochaną, Heloiza wcale nie rzuca mu się z wdzięcznością na szyję. Ba! Nie zgadza się na ślub.

Nie chce, by wolność Abelarda, miedra i myśliciela została ograniczona prozaicznymi obowiązkami. Poza tym woli go „zachować” przez same wdzięki miłości, niż siłą trzymać przez związek małżeński. Prawdziwe uczucie nie powinno wymagać formalnych gwarancji.

Czyż nie brzmi to współcześnie?

Heloiza ulega w końcu Abelardowi — ślub się odbędzie. Ale Fulbert zemści się okrutnie. Nastąpi przez niego ludzie napadają na dom Abelarda i pozbawiają go męskości. Upokorzonemu do głębi nie pozostaje nic innego, jak schronić się w klasztorze. Heloiza już wcześniej na jego prośbę, czy też jak chcą niektórzy — na polecenie, przywdziała zakonny habit.

Z czasu pobytu obojga w klasztorach zachowało się siedem listów. Poza „Listem do przyjaciela”, będącym formą autobiografii Abelarda, jest to jedyny ocalały zapis tej wielkiej historii miłosnej.

Przez dziewięć wieków fascynowała ona pisarzy i poetów. Z tej inspiracji powstała także wspomniana korespondencja sceniczna „Abelard i Heloiza” Ronald Duncan, ożywiająca ostatnio na Scenie Studio za sprawą Katarzyny Radeckiej (reżyseria) oraz Joanny Dobrzańskiej i Mariusza Szaforza, którzy wystąpili jako para kochanków.

Słów kilka o owej scenicznej korespondencji: Ronald Duncan, opierając się o angielskie przekłady autentycznej korespondencji, napisał dwanaście listów. Pisarz dochował wierności ogólnej treści pierwowzorów, wzbogacając je psychologicznie i uwzględniając wymogi konstrukcji dramatycznej.

Listy Abelarda i Heloizy powstały po latach od ich rozłąki. Ożywa w nich przeszłość odbita w klasztornej teraźniejszości, inaczej przeżywanej przez kochanków.

Abelard kocha Heloizę, jak dawniej. Wbrew temu uczuciu, a w zgodzie z sytuacją, w jakiej się znalazł, zabiega o odzyskanie spokoju. Stara się odnaleźć drogę do Boga. Jest myślicielem — nie wyrzekł się filozofii i teologii, nie zapomniał o zasadach logiki. Przy pomocy rozumu chce okiełznać targające nim wciąż jeszcze uczucie.

Heloiza nie potrafi się na to zdobyć. Miłość pochłania ją w pełni. Jej listy są rozpaczliwym wołaniem o uczucie w jakiegokolwiek formie objawione.

Abelard miota się między uczuciem a logiką. Rozsądek podpowiada zwycięstwo logiki. Tylko — czy może być mowa o zwycięstwie?

Ostatni list Heloizy, która zwraca wolność Abelardowi, jest przecież nie dowodem wyrzeczenia się miłości, ale jeszcze jedną ofiarą poniesionej dla kochanka.

Zielonogórskie przedstawienie zrealizowane w bardzo skromnych warunkach i skromnymi środkami wydobywa przede wszystkim ogromny ładunek najwyższych emocji zawarty w listach Heloizy: ona jest na pierwszym planie. Obserwujemy ją, gdy mówi słowa skierowane do Abelarda i jak reaguje na jego słowa.

Joanna Dobrzańska gra głosem, mimiką, gestem, dobrze korzystając z wszystkich środków ekspresji. Gra w sposób kameralny, wyciszony, intymny. I byłaby to kreacja nie mała doskonała, gdyby postaci dojrzałej i do świadczonoj kobiety nie psuły pojawiające się w kilku miejscach uniesienia zafascynowanej naiwnością dziewczyny zadziwionej świeżo odkrywanym światem. A może był to tylko skutek premierowej tremy?

Bardzo trudne zadanie miał do spełnienia Mariusz Szaforz. Ustawiony niemal przez cały czas bokiem lub tyłem do publiczności z głową ukrytą pod kapturem, grać mógł tylko głosem. Należy mu się duże uznanie za kulturę słowa. Niektórym z widzów brakowało pod tym starannym opakowaniem głębi wnętrza człowieka. Mnie zaś się zdaje, że było to wnętrze wypalające się. Abelard tłumaczy swoje uczucia nawet, gdy mówi o nich wprost. Mówi to bowiem nie człowiek walczący o prawo do miłości, jak Heloiza, ale świadomy konieczności rezygnacji, zmierzający do niej, choć do celu jeszcze daleko.

*

Na koniec kilka uwag o miejscu spektaklu — Wieży Głodowej i zainicjowanej tam Scenie Studio.

Pomysł wykorzystania wieży na prezentację pozornie niescenicznych utworów należy do pani Barbary Mielnik, która szefuje mieszczącej się w tym samym budynku „Desie”. Myślę, że spodziewane korzyści tej inicjatywy trudno byłoby zamknąć w ramach artystycznego zdarzenia.

Oto godzinę przed premierowym spektaklem w salonie „Desy” otwarta zostaje wystawa plastyczna (tym razem Henryka Krakowiaka): połączone wydarzenia są jedną z nielicznych okazji do zetknięcia się dwóch środowisk twórczych, które na co dzień nieczęsto się z sobą spotykają. Myślę o aktorach i plastykach, choć wiadomo, że takiej okazji nie przepuszczają także inni.

Otwarto więc wystawę, pani Basia była niezawodna jako gospodyni nietypowego spotkania. Kiedy jednak nadszedł czas spektaklu okazało się to, co się okazać musiało: miniatury (ciekawe czy jest tam więcej, niż 10 m kw.) pomieszczenie w Wieży Głodowej nie pomieści więcej niż 40 osób.

Efekt był taki, że spora grupa widzów in spe, wśród nich i pani Basia, spędziła przedstawienie w salonie „Desy” na pogawędce. Czas niby niezupełnie stracony, ale przecież to jednak nie to.

Wedle przewidywań organizatorów spektaklu wszystko powinno zagrać. Rozprowadzono tyle zaproszeń, ile jest miejsc. Ludzi przyszło jednak więcej no i — nie zagrało. I wydaje się, że i w przyszłości nie zagra: z jednej tylko przyczyny, która tkwi w małej salce.

Czy traktować to jako argument za zaniechaniem Sceny Studio i związanymi z tym spotkaniami?

Nie i jeszcze raz nie! Niefortunne pierwsze doświadczenie trzeba potraktować przede wszystkim jako dowód na to, że: po pierwsze — nie zanikła tzw. inicjatywa oddolna w środowiskach twórczych; i po drugie — że nie brak takowym wsparcia całkiem spontanicznego i także oddolnego. A jedynym wnioskiem, jaki należy wysnuć z tych przesłanek, jest konieczność poszukiwania w miejsce odpowiedniego miejsca na tego rodzaju nietypowe spotkania. Miejsca na wystawę, spektakl, a także na spotkanie towarzyskie.

Z pustek panujących w salce opatrzonej szyldem Klub Środowisk Twórczych (filia ZOK), ktoś wysnuł zbyt pochopne wnioski. I nie trzeba na to lepszego dowodu, jak nadfrekwencja na spotkaniu zwołanym przez panią Basię Mielnik. A że się nie do końca udało? Cóż — pierwsze koty za płucho...

DANUTA PIEKARSKA

Ronald Duncan: Abelard i Heloiza. Korespondencja sceniczna, reżyseria — Katarzyna Radecka, scenografia — Izabella Konarzewska, premiera — 11 listopada 1984 r. na Scenie Studio.